



# Prawo człowieka

## Część 1

Odpowiedź na atak pana Burke na Rewolucję Francuską, udzielona przez Tomasza Paine, Sekretarza Spraw Zagranicznych Kongresu podczas amerykańskiej Wojny o Niepodległość, autora prac „Zdrowy rozsądek” oraz „List do Abata Raynala”.

Translacja na język polski: Teresa Pelka

Tomasz Paine dyskutuje naturę ludzkiej racji ogółem, stąd przekład tytułu w liczbie pojedynczej, ze względu na powszechne użycie frazy „prawa człowieka” dla promulgowanej legislacji.

2022

# Copyright

Copyright © Teresa Pelka, 2022

ISBN 9798849514321

Public Domain Translation

**publicdomaintranslation.com**

Original, Thomas Paine, Rights of Man.

# Treść

Copyright	4
Do Pana Jerzego Waszyngtona	6
Przedmowa do wydania angielskiego	7
Przedmowa do wydania francuskiego	11
Prawo człowieka	15
Deklaracja Praw Człowieka,	
Zgromadzenie Narodowe Francji	145
Obserwacje o Deklaracji Praw	150
Rozmaitości	154
Wniosek	196
Przypisy	209

# Do Pana Jerzego Waszyngtona

Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki

Drogi Panie,

Przedstawiam Panu mały traktat w obronie tych właśnie zasad wolności, do których ustanowienia tak znakomicie się przyczynił Twój przykładowy walor. Ażeby prawa człowieka mogły się stać powszechne jak Ty w swej dobrej woli im życzysz, a Ty mógł się cieszyć, widząc Nowy Świat jak niesie Staremu odnowę, jest modlitwą

Twojego Drogi Panie,

Zobowiązane,

Posłusznego i kornego Sługi,

Tomasza Paine.

## Przedmowa do wydania angielskiego

**W**obec udziału jaki miał pan Burke w Amerykańskiej Rewolucji, naturalnie uznałem go za przyjaciela ludzkości; a ponieważ nasza znajomość na owym gruncie się rozpoczęła, przyjemniej by mi było mieć powód i przy takiej opinii pozostać, niż swe zdanie zmieniać.

Kiedy pan Burke wygłaszał zeszłej zimy w angielskim Parlamencie swoją gwałtowną mowę przeciwko Francuskiej Rewolucji i Narodowemu Zgromadzeniu, ja byłem w Paryżu, napisawszy doń z wieścią niedługo przedtem, iż sprawy miały się wspinać. Wkrótce potem zobaczyłem jego reklamę z zapowiedzią pamfletu: jako że ów atak na Rewolucję miał nastąpić w języku we Francji mało studiowanym, a jeszcze mniej rozumianym, natomiast w translacji cierpi wszystko, obiecałem niektórym z przyjaciół Rewolucji w owym kraju na pamflet pana Burke odpowiedzieć, zaraz jak się pojawi. Tym bardziej mi odpowiedź wyglądała na potrzebną, kiedy zobaczyłem jak nieprzyzwoite przeinaczenia ów pamflet zawiera; iż jest to skandaliczna obelga

wobec Francuskiej Rewolucji oraz zasad wolności, a forsuje w tym szerokim świecie fałsz.

Postępowanie pana Burke zdumiewa mnie i rozczarowuje tym bardziej, że (wnioskując z okoliczności które później pokrótce przedstawię) rozwinąłem uprzednio inne oczekiwania.

Zobaczyłem dość wojennej niedoli, by zapragnąć ażeby na tej Ziemi wojna nie miała już bytowania, a jakiś inny modus został wynaleziony dla łagodzenia waśni, co od czasu do czasu powstają między sąsiednimi narodami. Na pewno dałoby się tego dokonać na królewskich dworach, gdyby miały skłonność uczciwie w takich kwestiach postępować, albo kraje były dość oświecone, by się dworom nie dać urabiać. Ludzie w Ameryce zostali wychowani wobec Francji do przesądu takiego, jaki swego czasu charakteryzował ludzi w Anglii; jednak życiowe doświadczenie i obznajomienie się z francuskim narodem w działaniu, skutecznie Amerykanom okazało fałszywość owych przesądów; nie wierzę by istniały teraz między jakimiś dwoma krajami relacje bardziej serdeczne i pełne zaufania, niż między Ameryką a Francją.

Kiedy przybyłem do Francji wiosną 1787 roku, arcybiskup Tuluzy był wysoce uznawanym

ministrem. Zawarłem bliższą znajomość z osobistym owego ministra sekretarzem, mężczyzną o wielkim, dobrotliwym sercu; okazało się, jego i moje odczucia doskonale się zgadzały względem szaleństwa wojny, a też nędznego braku linii postępowania między dwoma narodami, jak Anglia i Francja, co się stale wzajem niepokoiły ze skutkiem nie innym, niż wzrost obciążeń i opodatkowania w obydwu. Ażeby mieć pewność, iż go źle nie zrozumiałem, ani on mnie źle nie rozumiał, spisałem treść naszej wymiany opinii i mu wysłałem; załączyłem zapytanie, jeżeli spostrzegę pośród ludzi w Anglii chęć podtrzymywania między obydwoma narodami zrozumienia lepszego niż do owej pory, na ile bym mógł liczyć na autoryzację, mówiąc iż taka sama skłonność zyskała większość we Francji? Odpowiedział mi jak najbardziej sprzyjająco i bez zastrzeżeń, nie tylko ze swej strony, ale także z ramienia ministra, a list deklarował iż za owego wiedzą został napisany.

Złożyłem ów list na ręce pana Burke niemal trzy lata temu i z nim pozostawiłem, gdzie się nadal znajduje; miałem nadzieję, a w owym czasie naturalnie też oczekiwałem, wedle zdania jakie sobie o nim wyrobiłem, że poszukałby jakiejś okazji i dobrze ów list wykorzystał, ażeby niwelować błędy i



przesady w jakie obydwie sąsiednie narody się wdały z braku jeden drugiego znajomości, a skutkowało to urazą u obydwu.

Kiedy Francuska Rewolucja się zaczynała, pan Burke miał z pewnością jako taką okazję uczynić nieco dobra, o ile miałby po temu skłonność; on jednak, ledwo ujrzał jak dawne uprzedzenia tracą na sile, zaraz zaczął siać zarodki nowego zaciętrzewienia, jakby się obawiał iż Francja i Anglia zaprzestaną być wrogami. Co jest prawdziwe zarówno jak szokujące, we wszystkich krajach są ludzie co żyją z wojny oraz podtrzymywania niezgody między narodami; ale kiedy ludzie którzy mają za swe zajęcie urządzenie kraju, rządzą sobie dydaktykę, by siać między narodami zwadę i pielęgnować uprzedzenia, tym bardziej nie da się tego wybaczyć.

Względem akapitu w tej pracy nawiązującego do korzyści majątkowej pana Burke, wieść jest od jakiegoś już czasu w obiegu, przynajmniej z dwa miesiące; a że człowiek często jako ostatni słyszy to, czego się dowiedzieć jest w jego najlepszym interesie, wspominam o tym, by pan Burke mógł pogłosce zaprzeczyć, o ile uzna za stosowne.

Thomas Paine

## Przedmowa do wydania francuskiego

**Z**askoczenie, jakie Rewolucja Francuska spowodowała w Europie, rozważać należy wedle dwóch różnych punktów widzenia: pierwszy się tyczy jej wpływu na za granicą narody; drugi jej wpływu na tych narodów struktury rządowe.

Sprawa narodu francuskiego to sprawa całej Europy albo i całego świata; rządy wszelkich krajów bynajmniej jej jednak nie sprzyjają. Tego rozróżnienia nigdy nie należy z oczu tracić. Nie wolno nam mylić ludności z jej strukturami rządowymi, szczególnie ludności Anglii z jej władzami.

Struktury rządowe Anglii wcale nie są Rewolucji Francuskiej przyjazne. Mamy tego wystarczające dowody w podziękowaniu złożonym przez ową słabą i bezrozumną osobę, elekta Hanower, zwanego czasem królem Anglii, złożonym panu Burke za obelgi jakimi natkał swą książkę, a także w złej woli komentarzach angielskiego ministra, pana Pitt, w jego Parlamentarnych mowach.

Pomimo zapewnień o najszczerzej przyjaźni, jakie zawiera oficjalna korespondencja angielskiego rządu z owym Francji, zachowanie zadaje kłam

wszelkim deklaracjom i pokazuje nam jasno, iż nie jest to dwór któremu da się ufać, ale dwór szalony, co rzuca się we wszelkie w Europie spory i intrygi, a szuka wojny byle zadowolić swe bezeceństwo i podeprzeć swą ekstrawagancję.

Angielski naród przeciwnie, jest do Francuskiej Rewolucji nastawiony bardzo przychylnie, a też do postępu wolności na całym świecie; uczucie to stanie się w Anglii tym bardziej powszechne, gdy intrygi i sztuczki jej rządu staną się w większej mierze znane, a prawidła rewolucji lepiej rozumiane. Francuzi powinni zdawać sobie sprawę, większość angielskich gazet jest opłacana przez rząd bezpośrednio, bądź też, o ile są z rządem pośrednio powiązane, zawsze pozostają w dyspozycji; a większość owych gazet stale tworzy o rewolucji we Francji krzywy obraz i ją atakuje, ażeby oszukać naród. Jednakowoż niemożliwym jest prawdę długo w pętach trzymać i bierze ona górę, natomiast codzienny fałsz owych publikacji nie odnosi już pożądanego skutku.

Ażeby uwierzyć iż głos prawdy został w Anglii stłumiony, wystarczy światu wiedzieć, ów rząd ma tę prawdę za zniesławienie i ściga ją prawem jako polityczny zamęt, choć winien ją chronić {1}. Ten eksces na moralności zwany jest przepisem, a

sędziowie są niegodziwi dość, by nakładać na szczerą prawdę kary.

Rząd angielski przedstawia sobą obecnie dziwne zjawisko. Widząc iż dwa narody, francuski i angielski, pozbywają się przesądów i mylnych pojęć uprzednio jeden przeciwko drugiemu uprawianych, z jakże sporym kosztem w pieniądzu, rząd ów zdaje się obnosić jak z obwieszczeniem, iż mu trzeba wroga; gdyż jeśli żadnego nigdzie nie znajdzie, pretekstu nie będzie dla olbrzymich skarbowych opłat i podatków co już teraz nakłada.

Takoż szuka takiego wroga w Rosji, jakiego stracił we Francji, a do wszechświata czy też siebie samego by mówił, „Jeśli nikt nie będzie miły na tyle, by się stać moim wrogiem, nie będzie mi trzeba więcej flot czy armii, a musieć będę obniżyć podatki. Wojna amerykańska dała mi je podwoić, sprawa z Holandią ściągnąć jeszcze trochę, granda z Nootka dała pretekst do zbiórki dalszych trzech milionów w szterlingu, ale jeśli nie zrobię sobie wroga z Rosji, moje żniwo wojny się skończy. Ja podburzyłem Turka przeciwko Rosjaninowi i teraz mam nadzieję na świeże pokłosie w podatku”.

Gdyby niedole wojny i zalew zła jaki szerzy ona po kraju, nie były zaporą wszelkiej ochocie do

radości, nie zmieniały śmiechu w żalność, wariackie działania angielskiego rządu budziłyby tylko drwinę. Nie da się wszakże przegnać z umysłu wizerunków udręki, jakie rozmyślanie nad taką występłą polityką maluje. Jednak szukanie rozumowej drogi z rządami jak od wieków one istnieją, to szukanie takowej z brutalami. Jedynie od narodów jako ludzi da się spodziewać reformy. Nie powinno już teraz być wątpliwości, iż narody Francji, Anglii oraz Ameryki, uposażone wiedzą i dzielące się nią wzajem, będą mieć nie tylko umiejętność świata zaprezentować przykład dobrego ustroju, ale poprzez swoje połączone wpływy także wprowadzić taki w praktykę.

Thomas Paine

## Prawo człowieka

P ośród aktów braku oglądy, jakimi narody bądź i pojedynczy ludzie się wzajem prowokują i drażnią, pamflet pana Burke o Rewolucji Francuskiej jest przypadkiem nadzwyczajnym. Ani Francuzi, ani ich Narodowe Zgromadzenie nie parali się sprawami Anglii, czy angielskiego Parlamentu; a niesprowokowany atak na nich przez pana Burke, w Parlamencie zarówno jak publikacja, jest sprawowaniem się takim, że się go wybaczyć nie da, ani na gruncie manier, ani we względzie linii postępowania.

Mało jaki pozostaje w języku angielskim obelżywy epitet, którego by pan Burke nie wymierzył we francuski naród i Narodowe Zgromadzenie. Cokolwiek rozdrażnienie czy przesąd, bądź też ignorancja jako wybór wobec wiedzy, byłyby w stanie na myśl nasunąć, tu ze szczodłą furią wypełnia blisko czterysta stron. Przy zawzięciu i zamiśle z jakimi pan Burke pisał, mógł był napisać stron i parę tysięcy. Cóż, gdy język lub pióro ponosi szal i gorączka, wyczerpaniu ulega człowiek, a nie przedmiot opisu.

Pan Burke już się do owej pory zarówno pomylił, jak i zawiódł, w formułowanych przez siebie opiniach o francuskich sprawach; jednak albo tak

twórcza jest jego nadzieja, albo tak chroniczna jego rozpacz, że ma pretensje próbować dalej. Był czas gdy nie było możliwości pana Burke przekonać, że we Francji będzie rewolucja. Jego zdanie było wtedy takie, że Francuzi nie mieli na to ani dość ducha, ani też siły; a że teraz rewolucja jest, szuka ratunku w jej potępieniu.

Nie dość zadowolony nadużywaniem sobie na Zgromadzeniu Narodowym, przeznacza ogromną część swej pracy na znieważanie doktora Price (jak najlepszego serca co żyje, człowieka), a także dwóch w Anglii towarzystw, znanych pod nazwami, Rewolucji oraz Informacji Konstytucyjnej.

Doktor Price dał kazanie 4 listopada 1789 roku, kiedy przypadła rocznica tego, co jest w Anglii nazywane Rewolucją, a miała ona miejsce w 1688 roku. Pan Burke tak oto owo kazanie omawia, „Duchowość polityczna postępuje dogmatycznie z twierdzeniem, iż poprzez zasady Rewolucji ludność angielska nabyła oraz ma trzy podstawowe uprawnienia.

1. Ażeby wybierać rząd.
2. Karać go finansowo za przewiny.
3. Wyznaczać sobie ustrój”.

Doktor Price nie mówi jakoby to uprawnienie ist-

niało poprzez tą czy tamtą pojedynczą osobę, czy też poprzez ludzi takiego czy innego opisu, ale że prawo to przynależy z ogółem; przystoi narodowi. Pan Burke przeciwnie, przeczy jakoby takie prawo istniało w narodzie, całym, czy w jego wyznaczonej części, bądź gdziekolwiek pośród ludności; a co tym bardziej dziwne i cudaczne, mówi, „ludność Anglii dosłownie się od takiego prawa odżegnuje, a dadzą oni odpór wszelkiej praktyce by im takie zaprowadzić, ręcząc swym życiem i mieniem”. Ażeby ludzie mieli chwytać za broń i stawiać na szalę życie i majątek nie po to, by swe prawa zachować, ale by się upewnić iż ich nie mają, to zupełnie nowy rodzaj odkrycia, co przystoi tylko paradoksalnej pomysłowości pana Burke.

Metoda jakiej się pan Burke chwyta na wykazanie, że Anglicy takich praw nie mają i żadne takie nie istnieją obecnie w ich narodzie, ani w jego całości, ani w jego części, ani gdziekolwiek pośród ludzi ogółem, jest w swym gatunku tak cudna i niezgrabna, jak w jego książce uprzednia jego wypowiedź, gdzie argumentuje, nie żyją już ludzie czy też pokolenia przy których takie prawo istniało, a prawo to jest martwe wraz z nimi. Na dowód cytuje deklarację Parlamentu sprzed około stu lat, wobec



Wilhelma i Marii, w takich oto słowach: „Lordowie Duchowni oraz Docześni wraz z Gminami, w imieniu nadmienionego narodu” (co oznacza ówczesną ludność Anglii) „jak najskromniej a wiernie dokonują aktu *poddaństwa*, za siebie, swych *spadkobierców* oraz ich *potomków*, NA ZAWSZE”. Cytuje on też klauzulę innego aktu Parlamentu za owego panowania, warunki której tak oto przytacza, „wiążą nas” (czyli ludzi owych czasów), „naszych *spadkobierców* i *potomnych*, wobec *nich*, ich *spadkobierców* i *potomnych*, po wsze czasy”.

Pan Burke uznaje swój argument za dość zasadny, wykazawszy się tymi klauzulami, a z naciskiem zaznacza, wykluczają one prawo narodu *na zawsze*. Nie dość jeszcze zadowolony dokonywaniem takowych deklaracji i powtarzaniem ich w kółko, dodaje, „nawet jeśli ludność Anglii miała takie prawo przed ową Rewolucją” (a przyznaje, tak właśnie we wczesnej historii było, nie tylko w Anglii, ale także w całej Europie), „angielski naród się za czasu owej Rewolucji z całą powagą takowego prawa wyrzekł i zrzekł, względem siebie samych oraz wszelkiej swej potomności, na zawsze”.

Jako że od okazji pan Burke stosuje tą spreparowaną na szkaradnych założeniach truciznę nie

tylko względem angielskiego narodu, ale też Francuskiej Rewolucji i Narodowego Zgromadzenia, a napada na to znakomite, wiedzą zasobne i szczodre gremium z epitetem jak *uzurpatorzy*, ja przeciwstawię jego założeniom inne, *sans cérémonie*.

Angielski parlament z 1688 uczynił coś, co dla siebie i swych wyborców mieli prawo zrobić, a też wyglądało to na słuszne. Jednak na dodatek to tego prawa, jakie mieli poprzez delegację, posłużyli się *założeniem* i ustanowili inny przepis, by zobowiązywać i kontrolować po wsze czasy potomstwo. Sprawa ma także dwie strony; jedna to prawo drogą delegacji, druga, prawo drogą założenia. Pierwsze z owych praw jest uznawane; natomiast co do drugiego, odpowiadam —

Nie istniał nigdy, istnieć nie będzie, a też nie ma jak istnieć parlament bądź dowolnego opisu ludzkie gremium czy pokolenie, w jakimkolwiek kraju, co by mieli prawo lub moc zobowiązywać i kontrolować potomstwo „po wsze czasy”, albo komenderować jak świat by miał w przyszłości, po wsze czasy być rządzony, bądź kto by miał nim rządzić; także wszelkie klauzule, uchwały i deklaracje takie, że służą ich twórcom do prób dokonania rzeczy gdzie nie mają ani prawa, ani wykonawczego

tytułu, są z samej swej natury puste i nieważne. Każdy wiek i każde pokolenie musi mieć *w każdym przypadku* taką wolność działać na swą rzecz, jak miały osoby i pokolenia poprzednie. Pustota i pretensje, by ludźmi rządzić spoza grobu, to najbardziej groteskowa i obelżywa z wszelkich tyranii. Człowiek nie ma prawa posiadać drugiego człowieka, tak samo pokolenia nie mają na własność pokoleń następnych. Parlament lub naród z roku 1688, czy jakiegokolwiek innego czasu w historii, rozporządzać dzisiaj ludnością, zobowiązywać ją czy kontrolować drogą *jakiegokolwiek formy*, nie ma prawa większego niż by miał Parlament dzisiaj zobowiązywać czy kontrolować ludzi co będą żyć za lat sto, czy tysiąc. Każde pokolenie jest i musi być władne we wszelkich swych zamierzeniach, jak wymagają tego okoliczności. Środki są dla żywych, a nie dla umarłych. Kiedy człowieka już nie ma, nie ma też na tym świecie jego zdolności i chęci; a jako że nie ma on już udziału w dążeniach tego świata, nie ma też autorytetu wskazywać kto by miał być w tego świata władzach, czy też jak by te władze miały być organizowane, bądź jak w ich ramach sprawować administrację.

Ni tutaj wspieram, ni zwalczam jakąkolwiek

formę rządu bądź polityczną partię, w Anglii czy gdziekolwiek. Te, na jakie cały naród się godzi żeby były, są na prawie. Pan Burke mówi, Nie. Skąd by się więc prawo brało? Ja występuję na rzecz praw ludzi żywych, a jestem przeciwny zniewalaniu ich, kontrolowaniu i dawaniu w targ wedle rękopisem sobie poczytywanego autorytetu ludzi umarłych; natomiast pan Burke oddaje się zabiegom na rzecz autorytetu umarłych ponad prawami i wolnością ludzi żywych. Był czas, królowie na łożu śmierci rozporządzali koroną robiąc testament, a ludność zapisywali jak bydła w dobytku, dowolnemu przez się wyznaczonemu następcy. Dziś to obyczaj tak dalece rozbity, że ledwo kto go pamięta, a tak pas-kudny, że mało kto mu ufa. A klauzule parlamentu na których pan Burke buduje polityce świątynię, są takiej samej natury.

W każdym kraju przepisy muszą obstawać przy jakiejś wspólnej zasadzie. W Anglii ni rodzic, ni majster, ani cała władza parlamentu, choćby ją sam zwał plenipotencją, nie ma mocy wiązać i kontrolować względem osobistej wolności nawet jednego człowieka co skończył dwadzieścia jeden lat. Na jakim zatem prawie miałby parlament z 1688 czy jakiś inny, wiązać wszelkie potomstwo na zawsze?

Ludzie co już opuścili ten świat, a ci, co jeszcze na nim nie są, to pojęcia wzajem odległe tak, jak wyobraźnia śmiertelnika daje ogarnąć przy największym jej wysiłku. Jakże może istnieć zobowiązanie — jaką utworzyć przepisem regułę lub zasadę, gdy ani jedno ani drugie nie jest prawnie ludzką jednostką: istota co opuściła ziemską egzystencję i taka co jeszcze nie ma miejsca, a nie spotkają się na tym świecie nigdy, jak by miała jedna kontrolować drugą po wsze czasy?

W Anglii mówią, nie wolno pieniędzy ludziom wbrew woli z kieszeni wyciągać. Któż więc upoważnił, czy też mógł upoważnić parlament z 1688, by kontrolował potomnych i zabierał im wolność, ograniczał ich i uzależniał w prawie do działania w niektórych sprawach na zawsze (a ci nawet wtedy nie istnieli i nie mieli jak zgody udzielić, czy jej odmówić)?

Większego absurdu niż pan Burke oferuje swym czytelnikom, nie da się ludzkiemu rozumowi przedstawić. Mówi im, a mówi też światu który dopiero ma nastać, że jakieś ludzkie gremium co egzystencję miało lat temu sto, utworzyło prawo, a żadna moc to prawo zmienić już teraz w narodzie nie istnieje, nie zaistnieje, ani istnieć jak nie ma.

Jaką dotąd złudą i absurdem narzucano naiwnym ludziom boskie prawo do rządu? Pan Burke wynalazł nowy sposób; skrócił sobie drogę do Rzymu, odwołując się do plenipotencji owego niezawodnego parlamentu z przeszłości, a przedstawia jego działanie jako władztwo boskie, gdyż moc musi to być więcej niż ludzka, gdzie człowiek nic zmienić nie może po wsze czasy.

Pan Burke oddał jednak pewną przysługę — nie swojej sprawie, ale krajowi — przynosząc te klauzule na publiczny widok. Przydają się gdy okazać, jak bardzo się trzeba wobec prób nadużycia władzy cały czas pilnować, a zapobiegać jej zagarnianiu. Jest to na jakiś sposób niezwykle, iż to samo przewinienie za jakie Jamesa II wygnano, czyli umocowanie prawne drogą założenia, miałoby pod innym kształtem i formą być zaprowadzane ponownie, przez ten właśnie parlament co go wygnął. Ukazuje to, iż naturalne prawa człowieka nie były podczas angielskiej rewolucji w pełni rozumiane, gdyż jest pewne, iż prawo nad osobami i wolnością potomnych na zawsze, jakie ów parlament ustanowił poprzez założenie (bo drogą delegacji upoważnieni być nie mogli, nie miał ich kto upoważnić), było w swym gatunku tyrańskie i bezpodstawne tak

samo jak to, co je James próbował na Parlament oraz naród nałożyć, a za które go wygnano. Jedyna różnica w tym (wszak w samej swej zasadzie nie różnią się one wcale), że jeden przepis uzurpuje nad żywymi, a drugi nad nienarodzonymi, a że względem prawnego autorytetu jeden nie jest od drugiego lepszy, obydwa muszą być jednakowo bez mocy i skutku.

Z jakiej materii, czy też od jakiego czasu wywodziłby pan Burke jakąkolwiek ludzką moc zobowiązywać potomnych na zawsze? Przedstawił swe przepisy, ale musi też okazać dowody, iż takie naturalne uprawnienie kiedyś istniało, oraz na jaki sposób istniało. Jeżeli istniało kiedyś, musi istnieć i teraz, bo cokolwiek z naturą człowieka należy, nie jest w człowieka gestii umorzyć. Naturalna człowiekowi jest śmiertelność i ludzie będą umierać, jak długo się rodzą. Pan Burke stworzył jednak polityce swoistego Adama, co by wiązał wszystkich potomków na zawsze. Takoz musi dowieść, że jego Adam miał taką moc czy naturalne prawo.

Im słabsza jest struna, tym mniej wytrzymała na rozciąganie, a tym gorzej jest mieć jej rozciąganie za politykę, chyba że celem jest ją zerwać. Gdyby ktoś oferował obalić optykę pana Burke, postę-

powalby jak on sam do tej pory. Zawyżyłby uznanie dla rządowych władz, ażeby podać ich prawo do stanowisk w wątpliwość; a w momencie gdy się zaczyna kwestia uprawnienia, władzę trzeba by poddać.

W myśli rzecz rozpatrzeć wystarczy przez chwilę, by spostrzec, że choć przepisy ustanowione przez jedno pokolenie pozostają często w mocy w pokoleniach następnych, swoje trwanie w mocy czerpią z przyzwolenia żyjących. Przepis nieobalony pozostaje w życiu nie dlatego, żeby się go nie dało uchylić, a dlatego że uchylony nie został; a pozostawienie go uchodzi za przyzwolenie.

Klauzule pana Burke jednak na swą korzyść nawet takiego przyzwolenia nie mają. To aspiracja do nieśmiertelności czyni je nieważnymi. Już sama ich natura nie pozwala na ugodę. Niszczą umocowanie jakie by *mogły* mieć, zajmując w prawie grunt jakiego mieć *nie mogą*. Nieśmiertelna moc nie jest naturalnym prawem człowieka, takż nie może być prawem parlamentu. Ów z 1688 roku mógł siebie był równie dobrze autoryzować do wiecznego życia, a nadać sobie tytuł władzy wiecznej. Takż wszystko, co się o tych klauzulach da powiedzieć, to że są werbalną formalnością, natomiast wagę mają, jakby owi skierowali do się wzajem pozdrowienie, a w



dawnym orientalnym stylu zawołali: O, Parlamencie, żyj nam wiecznie!

Okoliczności stale się na tym świecie zmieniają, i zmieniają się także ludzkie opinie; ponieważ ustrój jest dla żywych, a nie dla umarłych, tylko ludzie żywi mają jakieś prawo do udziału w rządzie. W jednym stuleciu mogą myśleć, ta rzecz jest słuszną, a okazuje się też i wygodna; w innym stuleciu okaże się ona ludziom może niewygodna i uznają ją za złą. Kto ma wtedy decydować, żywi czy umarli?

Ponieważ Pan Burke poświęca na owe klauzule prawie że sto stron, da się wnioskować iż same w sobie, o ile wyznaczają *uzurpowane założeniem* dominium nad potomnymi na zawsze, nie mają autorytetu, a są w swej naturze nieważne i puste; takż wszelkie pana Burke obszerne domniemania oraz na nich budowane oświadczenia — są nieważne i puste; na tym gruncie tę sprawę pozostawiam.

Przejdźmy teraz w bliższym szczególe do spraw Francji. Książka pana Burke byłaby z wyglądu instrukcją dla francuskiego narodu: ale jeśli mógłbym sobie pozwolić na ekstrawagancką metaforę, stosowną dla ekstrawagancji sprawy, to ciemność co próbuje rozjaśnić światło.

Teraz gdy piszę, mam przed sobą przypadkiem niektóre z propozycji markiza de la Fayette do deklaracji praw (proszę go o wybaczenie, stosuję ów uprzedni jego tytuł, ale to jedynie gwoli dystynkcji), na Zgromadzenie Narodowe w dniu 11 lipca 1789 roku, trzy dni przed wzięciem Bastylji, a nie mogę się powstrzymać i zwracam uwagę, jak osobliwie przeciwne są źródła, z których ten dżentelman a pan Burke wywodzą swoje zasady. Zamiast jak pan Burke, przeszukiwać stęchłe zapisy i spleśniałe pergaminy, na świadectwo jakoby prawa ludzi żywych zostały utracone, bo ludzie których już nie ma „wyrzekli się ich i zrzekli na zawsze”, markiz de la Fayette zwraca się ku żywemu światu i mówi z naciskiem: „Przywołaj na myśl owe odczucia, co je natura obwarowała w sercu każdego obywatela, a co nabierają nowej mocy, gdy je ogół ludzi z powagą uznaje: ażeby naród kochał wolność, wystarczy że jej zazna; ażeby naród był wolny, wystarczy że ma tego wolę”. Jakże suche, jałowe i mroczne jest źródło na którym pan Burke opiera swoje wysiłki! Jakże nieskuteczne, choć barwne jak kwiatki, są wszelkie jego oświadczenia i argumenty, gdy porównać te jasne, zwięzłe i duchem żywe odczucia! Choć nie ma ich wiele i są krótkie, wiodą na szerokie

pole szczodrej i mężnej myśli, a nie kończą się, jak u pana Burke przy kropce, melodią dla ucha, a nicością w sercu.

Wprowadziwszy markiza de la Fayette, pozwolił sobie dodać krótką opowieść o jego pożegnalnym przemówieniu do amerykańskiego Kongresu w 1783 roku, które żywo mi przyszło na myśl, jak zobaczyłem burzliwą napaść pana Burke na Francuską Rewolucję. Markiz de la Fayette wyjechał do Ameryki na wczesnym etapie wojny, a pozostał na służbie wolontariuszem do jej końca. Jego zachowanie podczas owego przedsięwzięcia jest jak najbardziej nadzwyczajne, jak na żywot młodego, ledwie dwudziestoletniego mężczyzny. Mieszkając w kraju co był jak enklawa zmysłowej przyjemności, i mając środki się takową cieszyć, jakżeż niewielu ludzi by się znalazło taki prospekt zamienić na scenę amerykańskiej leśnej dziczy, a spędzić kwiecie młodego wieku w niebezpieczeństwie i trudach co nie niosą zysku! Taki jednak jest fakt. Kiedy wojna się skończyła, a on miał się ostatecznie pożegnać przed wyjazdem, wystąpił przed Kongresem, a rozmyślając nad swym uczuciowym pożegnaniem z Rewolucją jaką ją widział, wyraził się w takich oto słowach: „Niech ten wielki monument,

wzniesiony ku czci wolności, służy ciemieżcy jako lekcja, a ciemieżonym za przykład!” Kiedy słowa te trafiły na ręce doktora Franklina, który był wówczas we Francji, zwrócił się on do hrabiego Vergennes o umieszczenie ich w La Gazette, ale nigdy się mu nie udało uzyskać zgody. Po prawdzie, w domu hrabia Vergennes był arystokratycznym despotą i bał się przykładu rewolucji amerykańskiej dla Francji, jak niektóre osoby boją się teraz przykładu rewolucji francuskiej dla Anglii, a hold bojaźni jaki złożył pan Burke (bo w tym świetle należy jego książkę widzieć) koresponduje z odmową hrabiego Vergennes. Powróćmy jednak do szczegółu samej pracy pana Burke.

„Zobaczyliśmy”, mówi Pan Burke, „francuskiego buntownika przeciwko łagodnemu i prawowitemu monarsze — wściekłego, gwałtownego i obelżywego bardziej, niż się jakikolwiek naród dał znać bezecnym uzurpatorom czy najkrwawszym z tyranów”. To tylko jeden z tysiąca przypadków, gdzie pan Burke okazuje swą ignorancję co do sprzężyn i zasad Francuskiej Rewolucji.

Naród się zbuntował nie przeciwko Ludwikowi XVI, ale wobec despotycznych pryncypiów ustroju. Pryncypia owe nie miały źródła w królu, ale na wiele

wieków przed nim, u swych założycielskich początków; aby je usunąć, nazbyt głęboko się rozkorzenily; stajnie augiaszowe pełne były obmierzłym brudem pasożytów i rabusiów tak, iż oczyścić je była zdolna jedynie gruntowna i powszechna rewolucja. A kiedy już się staje koniecznym czegoś takiego dokonać, serce i duch całe powinny iść w zamierzenie, albo się nie ma po co za rzecz zabierać. Kryzys nadszedł sam i nie było innego wyboru, trzeba było działać z determinacją i werwą, albo nie robić nic. Było o Królu wiadomo, narodowi sprzyjał, a ta okoliczność była dla przedsięwzięcia korzystna. Może nawet nigdy i nikt pośród ludzi wychowanych na monarchę absolutnego nie był w swym sercu mniej skłonny sprawować takiego gatunku władzę, niż właśnie ówczesny Król Francji. Jednakowoż pryncypia ustroju pozostawały nadal takie same. Monarcha a monarchia, były to dwie odmienne i odrębne kwestie; a to przeciwko ustanowionemu despotyzmowi monarchii, a nie przeciwko osobie czy też zasadom wyznawanym przez samego monarchę, rozwinęła się rebelia i przeprowadzono Rewolucję.

Pan Burke nie darzy uwagą owego rozróżnienia między człowiekiem a przeważającą regułą, a

takoż nie widzi, iż do rebelii może dojść przeciwko despotyzmowi ustroju, podczas gdy nie jest oskarżana o despotyzm głowa państwa.

Ludwik XVI był z natury moderatorem, ale nic to nie wniosło do dziedzicznego despotyzmu monarchii i go nie zmieniło. Wszelkie poprzednie tyrańskie rządy z dziedzicznego despotycznego ramienia nadal mogły powrócić do życia w rękach jakiegoś następcy. Chwila oddechu za jednego panowania nie miała jak Francji zadowolić, przy tym jaka już była w kraju polityczna świadomość. Od okazji sobie w praktyce despotyzmu zaprzestać, nie znaczy, że poniechano jego pryncypiów: praktyka zależy od waloru osoby bezpośrednio u władzy; natomiast zasady ustroju od waloru i siły narodu. W Anglii, względem Karola I i Jamesa II, rewolta rozpętała się przeciwko osobistemu owych mężczyzn despotyzmowi; natomiast we Francji przeciwko despotyzmowi dziedzicznie ustanowionych struktur rządowych. Jednakowoż ludzie jak pan Burke, co by zawierzali prawa potomności spleśniałemu pergaminowi na zawsze, osądzać tę Rewolucję się nie kwalifikują. Wymaga ona pola na ich pogląd zbyt rozległego, a postępuje z rozmachem rozumu, jakiemu nie potrafią dotrzymać kroku.

Jest wiele punktów widzenia, z jakich by Francuską Rewolucję rozpatrywać. Kiedy despotyzm na wieki się w kraju sadowi na pozycje, jak we Francji, nie bytuje jedynie w osobie króla. Robi takie wrażenie z wyglądu i w nominalnym zakresie władzy, ale nie tak się sprawy mają faktycznie i w praktyce. Despotyzm wszędzie ma swą miarkę. Każde rządowe biuro i każdy rządowy wydział ma swój despotyzm, zbudowany na obyczaju i zwyczaju. Każde miejsce ma swoją Bastylię, a każda Bastylia swojego despota. Pierwotny despotyzm dziedziczny co egzystuje w osobie króla, dzieli się i dzieli, na tysiące kształtów i form, aż w końcu cały działa poprzez deputację. Tak się sprawy miały we Francji; a przeciwko takiemu właśnie gatunkowi despotyzmu, co postępuje urzędowym labiryntem bez końca, póki jego źródło ledwo da się dostrzec, nie ma modusu zarady. Nabiera siły, przyjmując na się wizerunek obowiązku, a tyranieę praktykuje udając, iż jedynie dochowuje posłuszeństwa.

Jak się człowiek zastanowi, o jaki stan Francję przyprawiła natura jej rządowych struktur, dostreże powody do rewolty inne niż takie, co by się wprost odnosiły do osoby czy charakteru Ludwika XVI. Było we Francji, o ile tak by to ująć, i z tysiąc

despotyzmów gdzie by dokonać reformy, a wszystkie urosły na dziedzicznym despotyzmie monarchii i tak się rozkorzeniły, że stały w wielkiej mierze odeń niezależne. Pomiedzy monarchią, parlamentem oraz kościołem była względem despotyzmu *rywalizacja*; oprócz despotyzmu feudalnego co działał lokalnie, despotyzm kościelny był wszędzie w kraju. Jednakowoż pan Burke, uważając Króla za jedyny możliwy obiekt buntu, mówi jakby Francja była wioską gdzie wszystkie wydarzenia są wiadome jej głównemu oficjelowi, a nie ma jak dojść do opresji prócz tej, nad jaką on bezpośrednio sprawuje kontrolę. Pan Burke mógłby spędzić życie w Bastylii pod panowaniem Ludwika XVI, równie dobrze jak Ludwika XIV, natomiast ani jeden, ani drugi by nie wiedział, że człowiek taki jak Burke istnieje. Despotyczne zasady ustroju były takie same za panowania obydwu tych królów, choć względem usposobienia owi mężczyźni byli jeden od drugiego odlegli jak dobra wola od tyranii.

Co pan Burke uważa za przyganę dla Francuskiej Rewolucji (to, że nastąpiła pod rządami łagodniejszymi niż poprzednie), jest jedną z jej najchwalebniejszych dystynkcji. Do rewolucji w innych europejskich krajach podburzyła osobista



nienawiść. Wściekłość obracała się przeciwko człowiekowi i czyniła go ofiarą. W przypadku Francji widzimy jednak rewolucję powstałą na rozumnym zastanowieniu nad naturalnymi prawami człowieka, która od samego swego początku rozróżniała między osobami a regułami urzędów.

Pan Burke wygląda jednak na człowieka pryncypiów nieświadomego, gdy się zastanawia nad ustrojem. „Dziesięć lat temu”, mówi, „mógłbym Francji jej rządu wieszować, nie dociekając jakiej ów rząd był natury, czy też jaka była jego administracja”. Czy tak mówi człowiek rozumny? Czy tak przemawiają uczucia płynące od serca co sprzyja prawom i powodzeniu ludzkiego rodzaju? Na takowym gruncie, pan Burke winien chwalić wszystkie rządy na świecie, podczas gdy o cierpiących pod nimi ofiarach, sprzedawanych w niewolę, czy torturami pozbawianych egzystencji, całkowicie się zapomina. Pan Burke oddaje cześć sile, a nie zasadom; a ta jego pogardy godna deprawacja dyskwalifikuje go od rozsądzania. Tyle wystarczy, względem jego opinii o okolicznościach Francuskiej Rewolucji. Przechodzę teraz do innych rozważań.

Znam w Ameryce miejsce o nazwie Tu-nie-Tu (Point-no-Point), bo jak się idzie brzegiem,

barwnym i kwiecistym jak styl pana Burke, linia brzegu się cofa i człowiek ją widzi stale przed sobą w oddaleniu; a jak człowiek dojdzie daleko jak zająć da radę, nie widzi sensu. Taka właśnie jest sprawa z trzysta sześćdziesięcioma sześcioma stronami pana Burke. Trudno udzielić na nie odpowiedzi. A że jego dążenia widać po jego nadużyciach, to w jego paradoksach musimy szukać jego argumentów.

Pan Burke obrazuje Rewolucję jako tragedię, a przyprawia tym obrazowaniem swą wyobraźnię o oburzenie i szuka wpływu na ową czytelnika; kalkuluje bardzo dobrze jak na prezentację teatralną, gdzie akcję się wytwarza na rzecz pokazu, a dostosowuje tak, by poprzez słabość ludzkiego afektu łzawo skutkowałą. Pan Burke powinien sobie być zakonotować, pisze o historii, a nie teatralnych sztukach, i jego czytelnicy będą oczekiwać prawdy, a nie ciskania wzniosłych wykrzyknień perory.

Widząc mężczyznę jak dramatycznie lamentuje w publikacji którą chce, by brać za dobrą monetę, iż „Wiek rycerstwa przepadł! Chwała Europy zgasła na zawsze! Niekupna łaska życia (któż wie, co to jest), owa tania obrona narodów, a niańka męskim uczuciom i heroicznej inicjatywie, zeszła z tego świata!” — a wszystko dlatego, że

minął wiek nonsensu rycerskiej donkiszoterii — cóż może sobie człowiek wyrobić za zdanie o tego mężczyzny osądzie, jaką uwagą może darzyć jego wiedzę? W epizodzie swej imaginacji odkrył wiatraków świat cały, a smuci się, że nie ma już takich jak Don Kichot, co by na nie przypuszczali ataki. Gdyby jednak miały upaść czasy arystokracji, podobnie jak te rycerstwa (początkowo było między nimi jakieś powiązanie), pan Burke mógłby jak herald z wieścią, doprowadzić swą parodię do końca, a wykrzyknąć: „Nie ma już zajęcia dla Otella!”

Niezależnie od rażących wizji pana Burke, gdzie porównuje Rewolucję Francuską z rewolucjami w innych krajach, zdumiewać nas będzie, iż się odznaczyła tak niewielką liczbą ofiar; zdumienie to nam przejdzie jak zważymy, iż celem namysłu było wówczas zniszczyć złe zasady, a nie rujnować ludzi. Narodowe myślenie było pod wpływem motywu wyższego, niż inspiracja co może przyjść od rozpatrywania pojedynczych osób, a też poszukiwano wyższego rodzaju zwycięstwa, niż by mógł dać li upadek wroga. Pośród owych nielicznych co polegli, nie widać żadnych celowo wyizolowanych ludzi. Wszyscy spotkali swój los w okolicznościach

danej chwili, nikogo nie ścigano z ową długotrwałą, zimnokrwistą i bez chwili odetchnienia pomstą, co dybała na nieszczęsnego Szkota w wydarzeniach z 1745 roku.

Poprzez całą książkę pana Burke nie widzę wzmianki o Bastylii więcej niż jedna, a to ze swego rodzaju wytyczną, jakby mu było przykro że ją zburzono, a miał życzenie by mu ją wznieść ponownie. „Odbudowaliśmy Newgate,” mówi, „i dali budynek w najem; więzienia mamy obronne prawie jak Bastylia, dla tych, co się ważą zniesławiać królowe Francji” {2}. Względem szaleńca jak ten zwany lordem G[eorgem] G [ordonem] oraz tego co by sobie ów mógł mówić, a dla którego Newgate jest raczej domem bez klamek niż więzieniem, nie jest to godne rozumnej rozwagi. Rzeczonego zniesławienia dopuścił się szaleniec, co stwierdzić, wystarczy by się określić; zniesławienie było okazją go zamknąć, i tego chciano. Pewne jest tutaj natomiast, iż pan Burke, który siebie szaleńcem nie nazywa (jakkolwiek by go inni ludzie nazywali), zniesławił, i to zupełnie niesprowokowany, a w jak najpodlejszym i wulgarnym dla obelgi stylu, wszelkie reprezentatywne władze Francji, a pomimo to zasiada w brytyjskiej Izbie Gmin! Sądząc po jego

gwałtowności i żalu, przemilczaniu jednych, a wyolbrzymianiu innych spraw, trudno byłoby nie wierzyć że panu Burke jest przykro, niezwykle przykro, iż owa arbitralna władza, moc papieża i Bastylli, została zdjęta z piedestału.

Ni przebłysku współczucia, nawet jednej refleksji o krzywdzie nie da się w jego książce znaleźć o tych, co ledwie trwali w swym marnym żywocie, nie mieli za życia nadziei, w tym najbardziej szubrawym z więzień. Przykro jest widzieć człowieka co używa swych talentów by siebie deprawować. Natura jest dla pana Burke łagodniejsza niż on dla niej. Nie wpływa na jego uczucia realność utrapienia, a taka dotyka serca; jedynie efekciarska podobizna napiera mu na wyobraźnię. Żal mu piór, a pomija umierającego ptaka. Nawykły całować arystokratyczną dłoń co mu skradła i samego siebie, upada nisko tak, by komponować wytwór, a opuszcza go szczerłość natury. Jego bohater bądź bohaterka to koniecznie ofiary tragedii co przebrzmiewają wraz z pokazem; nie są to prawdziwi więźniowie niedoli, osuwający się w śmierć w ciszy lochu.

Ponieważ pan Burke zupełnie pomija jak do Bastylli doszło (a jego milczenie wcale nie działa na jego korzyść), natomiast czytelników zabawia on

refleksjami nad przypuszczaniem o wydarzeniach, a fakty zniekształca aż do fałszerstwa, przedstawię tutaj, gdyż on zawodzi, częściową relację z okoliczności co Bastylę poprzedziły. Przydadzą się by ukazać, iż szkody trudno unikać bardziej, gdy zważyć jak zdradzieccy i napastliwi byli wrogowie Rewolucji, a zawsze pogarszali sytuację.

Umysłowi trudno sobie przedstawić scenę grozy większej niż wystawiło miasto Paryż, kiedy brali Bastylę; a także na dwa dni przed oraz po tym wydarzeniu, czy też dostrzec możliwość żeby tak szybko wszystko ucichło. Z odległości, obrót spraw wyglądał sam w sobie na akt heroizmu, a jego bliskie polityczne powiązanie z Rewolucją gdzieś się gubiło, wobec splendoru osiągnięcia. Nam jednak przychodzi rozpatrywać wydarzenie jako kwestię sił dwóch ugrupowań, człowiek przeciwko człowiekowi, w konfliktach o skutek. Bastylia miała być swym agresorom nagrodą bądź więzieniem. Jej upadek oznaczał też upadek despotyzmu, a ten pojęciowy związek utworzył obraz jak Bunyana *Zamczysko Zwątpienia*, czy też *Ogrom Osowiały*.

Zgromadzenie Narodowe, przed akcją na Bastylę zarówno jak w jej czasie, siedziało w Wersalu, dwanaście mil od Paryża. Na jakiś tydzień

zanim się paryżanie zbuntowali i wzięli Bastylię, odkryto iż formował się spisek, a na jego czele stał hrabia d'Artois, najmłodszy brat Króla; chcieli obrócić Zgromadzenie Narodowe w ruinę, uwięzić jego członków, a tym samym zdruzgotać, drogą *coup de main*, wszelkie nadzieje i widoki na uformowanie wolnego ustroju. Ze względów ludzkich wartości oraz wolności człowieka dobrze się stało, że ten plan zawiódł. Przykładów nie brakuje by okazać, jak straszliwie mściwe i okrutne są wszelkie stare rządy, jeśli odniosą sukces przeciwko rzeczy co ją zwał rewoltą.

Plan ów musiał być pod namysłem od dłuższego czasu, bo dla jego ziszczenia trzeba było zebrać wokół Paryża spore wojskowe siły, a odciąć komunikację między miastem a Zgromadzeniem Narodowym w Wersalu. Oddziały do tej misji składały się głównie z obcej siły najemnej na francuskiej płacy, a miały dla tego jedynie celu nadciągnąć z odległych okolic kraju, gdzie wtedy stacjonowały. Kiedy zaciągnięto ludzi do liczby gdzieś między dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma tysiącami, uznano czas za właściwy dla wykonania planu. Ministrowie wówczas na urzędach co byli Rewolucji przyjaźni, natychmiast zostali zdy-

misjonowani, a utworzono nową administrację z tych, co byli zadowoleni ze spisku; był pośród nich hrabia de Broglio, a jemu właśnie przypadło dowództwo nad owymi wojskami. Charakter tego człowieka jak go dla mnie opisano w liście, natomiast ja przekazałem o tym wiadomość panu Burke zanim zaczął pisać swą książkę, a relacja pochodziła ze źródła panu Burke dobrze znanego z wiarygodności, to — „arystokrata o wysokich lotach, chłodny i zdolny wyrządzić wszelką szkodę”.

Gdy sprawy przybierały na obrotach, Zgromadzenie Narodowe było w sytuacji tak niebezpiecznej i przelomowej, jak się sobie da wyobrazić, a spodziewać by ludzkie gremium jeszcze działało. Zostali przeznaczeni na ofiarę i to wiedzieli. Mieli po swojej stronie serca i życzliwość swego kraju, ale nie mieli żadnego wojskowego autorytetu. Salę gdzie odbywali posiedzenie otoczyła straż Broglio, gotowa ująć uczestników na rozkaz, jak się to stało rok przedtem w Parlamencie paryskim.

Gdyby Zgromadzenie Narodowe zawiodło zaufanie, czy też okazało słabość lub lęk, byłoby to zachętą dla ich wrogów, a zgnębiło kraj. Jak objąć wraz spojrzeniem ich sytuację, sprawę w jaką się zaangażowali oraz kryzys wtedy w punkcie wrzenia,



co miało razem wyznaczyć ich osobisty i polityczny los, a też ten ich kraju i możliwie Europy, nikt, jedynie człowiek o sercu zatwardziałym od uprzedzeń, bądź skorumpowany zależnością od poprzednich władz, pozostałby niezainteresowany ich postępem.

Przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego był w owym czasie Arcybiskup Vienne — osoba zbyt stara, jak na perspektywę co ją nieść mogło następnych parę dni, lub też tylko godzin. Potrzebny był człowiek bardziej aktywny, o większej sile przebicia, i Zgromadzenie Narodowe wybrało (jako wiceprzewodniczącego, bo moce przewodniczącego pozostawały przy arcybiskupie) markiza de la Fayette; a był to jedyny przypadek gdy wybrano wiceprzewodniczącego. Właśnie w czasie kiedy nadchodziła owa burza (11 lipca), markiz de la Fayette przedstawił Deklarację Praw, do czego nawiązuję na stronie 27. Nakreślono ją pośpiesznie i była tylko częścią szerszej deklaracji, uzgodnionej i przyjętej później przez Zgromadzenie Narodowe. Powodem by ją wtedy przedstawić (poinformował mnie potem markiz de la Fayette), było dać szansę choćby śladom owych zasad przetrwać ruinę, o ile Zgromadzenie Narodowe miałyby paść ofiarą otaczającej je

destrukcji.

Wszystko chyliło się teraz ku kryzysowi. Wynikiem miała być wolność lub niewola. Po jednej stronie stała armia prawie trzydziestu tysięcy mężczyzn; po drugiej, gromada nieuzbrojonych obywateli — bo obywatele Paryża, na których Zgromadzenie Narodowe wprost musiało wtedy polegać, byli bez broni i szkolenia co je dziś mają obywatele Londynu. Straż francuska uprzednio już jasno przejawiała przywiązanie do sprawy narodowej; byli jednak nieliczni, nie stanowili nawet jednej dziesiątej sił pod rozkazami Broglio, gdzie oficerowie z nim trzymali stronę.

Rzecz dojrzała do spełnienia; nowy rząd wystąpił publicznie i objął władzę. Czytelnik niechże ma na uwadze, Bastylę wzięto czternastego lipca; natomiast ja mówię teraz o wydarzeniach z dwunastego dnia owego miesiąca. Zaraz jak wiadomość o zmianie rządu dotarła do Paryża, a było to tego samego dnia po południu, wszystkie teatry i miejsca rozrywki, sklepy oraz domostwa zamknięto na rygiel i klucz. Zmianę w rządzie uznano za wstęp do działań wrogich, a opinia ta miała grunt w życiowym doświadczeniu.

Zagraniczne wojska zaczęły podchodzić do

miasta. Książę de Lambesc, który dowodził oddziałem niemieckiej kawalerii, podszedł pod siedzibę Ludwika XV, a ta łączy się z niektórymi ulicami miasta. W trakcie swego marszu obraził i uderzył mieczem starca. Francuzi są nadzwyczajni w poszanowaniu dla starszego wieku; widoma obelżywość, z jaką książę tego dokonał, wraz z ogólnym wówczas stanem społecznego fermentu dały potężny skutek, a okrzyk „Do broni! Do broni!” rozlegał się wkrótce żywo po całym mieście.

Broni właściwie nie mieli i mało kto pośród nich wiedział jak jej używać; ale desperacka postawa, kiedy się człowiekowi przychodzi chwycić każdej nadziei, daje chwilowo za brak oręża nadrobić. Niedaleko miejsca postoju księcia de Lambesc leżały stosy kamieni na budowę nowego mostu, i nimi właśnie ludzie zaatakowali kawalerię. Oddział francuskiej straży ruszył ze swej kwatery na odgłos strzałów i dołączył do ludności; a jako że nadchodziła noc, kawaleria się wycofała.

Uliczki Paryża są wąskie i takież przychylne obronie; domostwa wysokie, wielopiętrowe, dają skutecznie wielkie niezadowolenie, a zabezpieczają od nocnych eskapad; takież spędzili ową noc zaopatrując się w każdy rodzaj uzbrojenia jakie się

dało sprowadzić lub zrobić: strzelby, miecze, kowalskie młoty, ciesielskie siekiery, żelazne łomy, piki, halabardy, widły, szpikulce, pałki i tak dalej, i tak dalej. Niewiarygodna liczba w jakiej się następnego ranka zebrali, a tym bardziej niewiarygodne zdecydowanie, które było po nich widać, zaskoczyły ich wrogów i przyprawiły o zmieszanie. Takiego salutu nowy rząd się nie spodziewał. Sami byli już przyzwyczajeni do niewolniczej służby i nie mieściło się im w głowach, iż tak ludzi inspirować zdolna jest wolność, a grupa nieuzbrojonych obywateli odważy się stanąć przeciwko sile trzydziestu tysięcy wojskowych. Każdej owego dnia chwili ludzie gromadzili broń, uzgadniali plany, a organizowali się w porządek najlepszy, dla ruchu co się w jednym momencie zawiązał. Broglio nadal stacjonował wokół miasta, ale dalej już owego dnia wojskiem nie postąpił, a noc upłynęła w spokoju jak tylko przy takowej scenerii możliwy.

Obrona nie była jedynym celem obywateli. Stawką była ich sprawa, od tej zależała ich wolność lub zniewolenie. W każdej chwili oczekiwali, nadejście atak na nich samych, albo wieść o ataku na Narodowe Zgromadzenie; w takiej sytuacji środki jak najszybsze są czasem najlepsze. Obiektem teraz

na widoku była im Bastylia; zniesienie takiej fortecy w obliczu takich wojsk byłoby iluminacją bez wątpienia zdolną tchnąć strach w nowy rząd, który nie zdążył się jeszcze zebrać na spotkaniu. W jakiejś przechwyconej owego poranka korespondencji odkryli, burmistrz Paryża, markiz Deffleselles, co na wygląd sprzyjał interesom obywateli, teraz ich zdradzał; a po owym odkryciu żadna już wątpliwość nie pozostawała, Broglio zamierzał wzmocnić Bastylię tego właśnie nadchodzącego wieczoru. Także zaatakować trzeba było tego dnia; ale żeby takie dokonanie stało się w ogóle możliwe, musieli sobie sprowadzić uzbrojenie lepsze niż to, jakie było wtedy w ich posiadaniu.

Zaraz pod miastem, przy Szpitalu Inwalidów, było w składnicy dużo broni; obywatele poszli tam wezwać do kapitulacji, a ponieważ miejsce nie było obronne, ani tam obrony za bardzo nie próbowano, wkrótce odnieśli sukces. Zaopatrzeni, pomaszerowali zaatakować Bastylię; szeroka nawała ludzi wszelkiego wieku i społecznej rangi, uzbrojona we wszelkiego rodzaju oręż. Wyobraźnia mogłaby jedynie ponieść porażkę, pisząc sobie obraz takiego pochodu, a też niepokoju o wydarzenia następnych paru godzin, bądź i tylko minut. Jakie plany formo-

wał nowy rząd, nie było ludziom w mieście wiadomo, natomiast rząd nie wiedział co w owym czasie robili obywatele; z kolei obywatele nie wiedzieli jakich ruchów dokonać mógł Broglio dla wsparcia i osłony twierdzy. Cała sytuacja była niewiadomą i ryzykiem.

Bastylię zaatakowali z entuzjastycznym heroizmem, takim, do jakiego pobudzić umie jedynie najwyższe wolnościowe poruszenie, a twierdza została zniesiona w parę godzin, co jest światu w pełni wiadome. Nie zajmę się tu szczegółami ataku, ale wystawię na widok ów spisek przeciwko narodowi, co do wydarzenia doprowadził, a razem z Bastylią upadł. Więzienie które nowy rząd chciał uczynić losem Zgromadzenia Narodowego, ów wysoki ołtarz i twierdza despotyzmu, było obiektem właściwym, by odeń zacząć. Wydarzenie doprowadziło w nowym rządzie do rozłamu, a zaczęli uciekać od ruiny co ją zgotowali innym. Oddziały Broglio się rozproszyły i on sam też uciekł.

Pan Burke dużo opowiada o konspiracji, ale nigdy o tym spisku przeciwko Narodowemu Zgromadzeniu oraz wolności narodu; natomiast aby się mu nic i nie wymysknęło, pomija wszystkie okoliczności jakie by go mogły na tę ścieżkę sprowadzić.

Francuscy uchodźcy, których sprawa tak go bardzo interesowała i od których się o wydarzeniach dowiadywał, zbiegli skutkiem niepowodzenia owego spisku. Przeciwko nim nie formowano żadnej konspiracji; to oni spiskowali przeciwko innym; a tych co zostali pokonani, spotkała nie bez słuszności, kara jaką się sami szykowali na innych wykonać. A czy pan Burke stwierdzi, że gdyby ów spisek, założony podstępem jak wnyki, odniósł sukces, strona zwycięska równie szybko powściągnęłaby swój gniew? Niechże historia wszelkich rządów będzie tu odpowiedzią na pytanie.

Kogo wprowadziło na szafot Zgromadzenie Narodowe? Nikogo. Sami byli przeznaczani na ofiary spisku, ale się nie zemścili; dlaczegóż więc są oskarżani o zemstę, skoro jej nie wywarli? W przelomie tak ogromnym, że obejmuje cały naród, a mieszają się wszelkie rangi, temperamenty i charaktery, natomiast człowiek wyratować się może od delibrowanej nań destrukcji tylko ponadprzeciętnym wysiłkiem własnym, czy należy oczekiwać, że nic się nie stanie? Kiedy ludzie są od poczucia opresji aż obolali, a morzy ich perspektywa nowego ucisku, czy należy poszukiwać filozoficznego spokoju, czy może porażenia czucia? Pan Burke krzyczy prze-

ciwko zamachowi, ale sam się jeszcze gorszego dopuszcza. Jego książka to wolumin obelg, których nie usprawiedliwia poryw chwilą, bo je pielęgnował na przestrzeni dziesięciu miesięcy; natomiast pan Burke nie miał owego impulsu — nie wchodziło nigdy w grę jego życie, czy interesy.

Zginęło w owej walce więcej obywateli niż ich przeciwników: cztery czy pięć osób ludność schwyła i zaraz zabiła; zarządcę Bastylii oraz burmistrza Paryża, co go przyłapali na wobec nich zdradzie; następnie Foulona, który był jednym z ministrów w nowym rządzie, oraz Berthiera, jego zięcia, który się zgodził objąć urząd intendenta miasta Paryża. Ich głowy nabito na piki i noszono po mieście; a to właśnie na tym modusie kary buduje pan Burke olbrzymią większość swej tragicznej scenerii. Zbadajmy zatem, jak człowiekowi w ogóle przyszedł pomysł na taki sposób zadawania kary.

Ludzie uczą się pokarania od rządów pod jakimi żyją; a odwzajemniają kary które ich przyzwyczajono widzieć. Głowy zatknięte na piki, lata całe trzymane w Temple Bar, wcale się nie różniły względem scenerii horroru od tych obnoszonych po Paryżu; tyle że tamtymi się parął rząd angielski. Da się i może powiedzieć, dla człowieka nie ma już



żadnego znaczenia, co mu robią po jego śmierci, ale ma to duże znaczenie dla żywych; bądź doświadczają to boleśnie ich uczuciowość, bądź czyni serca zatwardziały, a w jednym jak drugim przypadku udziela im instrukcji — jak karać, gdy władza trafi w ich ręce.

Przyłóż topór do korzenia, a ucz rządy humanitaryzmu. To furiackie i krwawe rządowe kary kruszą człowieczeństwo. W Anglii, w niektórych przypadkach wymiarem kary jest podwieszenie, wleczenie i ćwiartowanie; wycina się serce ofiary i podnosi ludności na widok. We Francji pod jej uprzednimi rządami, kary były nie mniej barbarzyńskie. Któż nie pamięta egzekucji Damiena, rozerwanego końmi? Takie okrutne spektakle dla ludności mają na celu rujnować uczuciową wrażliwość lub budzić zaciętość; a przez prymitywne i fałszywe pojęcie iż rząd to coś sprawowanego poprzez terror raczej niż rozum, spektakle takie stają się precedensami. To na najniższą klasę społeczną ludzi miałby rząd terroru wedle swego własnego zamiaru oddziaływać, i skutkuje on na nich jak najgorzej. Ludzie są dość spostrzegawczy, by przyuważyć takie branie ich na cel, a dopuszczają się ze swej strony przykładów terroru o jakich poinstruowała ich praktyka.